

Marek Hłasko

Brat czeka na końcu drogi.

To było małe miasto i mała stacja. Pociągi przychodziły rzadko, nikt tu prawie nie przyjeżdżał, a ludzie przesiadujący z nudów nocami w bufecie kolejowym znali się już dobrze: pili tanie wina, piwo i ukradkiem przyniesiona wódkę; rano szli do pracy otępiali, z żelaznym bólem pod rozpaloną czaszką. Kiedy pewnej letniej i dusznej nocy wszedł ten człowiek, wszyscy unieśli głowy. Wyglądał dziwnie: twarz jego była tak pomięta, że nikt nie wyczytałby z niej wieku, plecy miał kabłąkowate, a wyraz jego oczu można by określić jako szalone zdziwienie. Stał na progu i — mnąc w rękach czapkę — rozglądał się z głupkowskim uśmiechem. Przeształ przy tym z nogi na nogę jak dzieciak, który ma zamiar spłatać figla. Głowę trzymał pochyloną nisko do przodu i dopiero kiedy obrócił się do patrzących nieco bokiem, wszyscy zobaczyli, że na karku jego wyrósł potężny, do garbu podobny guz mięśni. Tak czasem bywa z mężczyznami, którzy bardzo wcześnie — jako młodzi chłopcy — zaczęli ciężko pracować fizycznie.

Stał tak długą chwilę i rozglądał się wciąż z tym samym uśmiechem zaciekawienia. Potem pochylił się jeszcze bardziej i szybko podszedł do pierwszego z brzegu stolika, przy którym siedziało dwóch młodych mężczyzn z kobietą. Przystanął przy nich; oparłszy się dłonią o krawędź stołu, pochylił się ku kobiecie i patrzył na nią rozszerzonymi oczami. Kobieta odsunęła się gwałtownie.

— Czego pan chce? — zapytał jeden z młodych ludzi. Był to ładny chłopiec o jasnych włosach i ogorzalej cerze; niebieska, szeroko przy szyi rozpięta koszula podkreślała kontrast tych barw. Czekał chwilę, a kiedy zagadnięty nie odpowiedział, powtórzył pytanie: — Czego pan tu chce?

Zgarbiony człowiek milczał. Wciąż patrzył na kobietę i uśmiechał się radośnie.

— Czego pan chce? — pytał dalej ładny chłopiec.

— Nie jesteśmy sami, chyba pan to widzi. Idź pan stąd do diabła.

Człowiek wpatrujący się w kobietę nie drgnął nawet, patrzył prosto w jej twarz, a jego oczy z sekundy na sekundę stawały się coraz bardziej okrągłe. Wtedy drugi chłopak szybkim ruchem strącił jego dłoń ze stołu.

— Uciekaj — powiedział. Uciekaj stąd, bo będzie źle. Mówię ci: uciekaj stąd szybko.

Pchnął zgarbionego w plecy. Ten niechętnie, z powolnością niedźwiedzia, odszedł. Krążył chwilę po sali, rozglądając się bacznie, potem znów przystanął przy jakimś stoliku. Siedziała tam kobieta w jaskrawej sukni wraz z dwoma wojskowymi. Wszyscy troje byli trochę podpici, bawili się między sobą nie zwracając uwagi na resztę ludzi i kiedy zgarbiony podszedł do nich, nie wywołało to u nikogo zdziwienia.

— Chcesz się napić przyjacielu? zapytał jeden z wojskowych. Nalał wina w kufel po piwie i podał zgarbionemu. — Napij się — powiedział — i wspominaj nas dobrze.

Zgarbiony nie wziął kufla. Patrzył na kobietę i nie mówił nic. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając bezzębne dziąsła i kobieta odwróciła głowę.

— Zalany jest — powiedziała. — Dajcie mu spokój. Sam widocznie wie, że ma dosyć.

— Nie, to nie — powiedział wojskowy. Odstawił kufel. — Siadaj, kochany — rzekł do zgarbionego. — Siadaj i opowiedz coś o sobie. Skąd jesteś?

Zgarbiony milczał, jego pomięta twarz zarumieniła się nagle jak po wypiciu dużego kielicha wódki. Kobieta zdenerwowała się nagle.

— Jakiś niemowa — powiedziała z gniewem. Zwróciła się do jednego z wojskowych: — Powiedzcie mu, żeby stąd poszedł. Czy nie można nawet parę minut posiedzieć w spokoju? Niech on sobie stąd idzie.

Milczący dotąd drugi wojskowy powiedział nagle:

— Tak, tak, niech pan sobie stąd idzie.

A kiedy zgarbiony człowiek mimo to nie odchodził, pochylił ku niemu poczerwieniałą twarz i syknął:

— Wynocha, rozumiesz?

Zgarbiony stał jeszcze przez chwilę, potem odszedł krok i z tego miejsca patrzył na kobietę. Tym, którzy obserwowali go z boku, zdawało się, że nie widzi nic poza nią, tak jakby jego oczy mogły przyswajać sobie ten tylko jedyny obraz. Było to przykre. Towarzystwo przy stoliku siedziało przez chwilę w milczeniu, potem jeden z wojskowych powiedział bardzo głośno do swego towarzysza:

— Nie rozumie widocznie po ludzku.

— Zawołaj milicjanta — rzekła kobieta odwracając głowę. — Jeśli nie ma innej rady, zawołaj milicjanta.

— Tutaj, na tej stacji? Łatwiej zadzwonić na Boga.

— Czekaj — ożywił się drugi. — Ja go postraszę.

Sięgnął do pasa i — udając, że wyjmuje pistolet — wymierzył w zgarbionego palec i krzyknął głośno:

— Puff, paff.

Zgarbiony człowiek zasłonił oczy rękami i niezdarnie począł cofać się tyłem. W drzwiach potknął się o próg i runął. Potem zerwał się nagle i uciekł nie zamykając nawet drzwi. Wszyscy zachichotali.

— Jakiś dziwak — powiedziała kobieta.

— Nieczęsto się taki trafia w każdym razie.

— Może wariat?

— Diabli wiedzą.

— Mało wariatów chodzi po świecie? Podobno każdy jest w jakimś tam stopniu zwariowany...

— Wiecie co robi wariat, kiedy chce zobaczyć nagą kobietę?

— No?

— Żeni się.

— Świntuch. Ale tamten nie wyglądał na wariata.

— Ci, co się żenią, także nie wyglądają.

— Jeśli jeszcze raz tak powiesz, to odejdę od was.

— W tym mieście nie znajdziesz innego towarzysza. Siłą rzeczy jesteś skazana na nasze.

— O której przychodzi nasz pociąg?

— Jeszcze czas. O piątej. Boże, on znów przyszedł...

Wszyscy troje odwrócili głowy. Zgarbiony człowiek stał w drzwiach i rozglądał się bacznie, a pierwsze co zauważyli to uśmiech, który nie znikł z jego twarzy. Stał bez ruchu kilka sekund; kiedy zrozumiał, że nikt z obecnych nie ma zamiaru go wyrzucić, przeszedł wolno na środek sali. Stał obok jakiegoś stolika, gdzie siedziało liczne towarzystwo; ilość pustych butelek stojących przed nimi świadczyła, że nie marnowali czasu od rana. Nikt nie zwrócił na niego uwagi; stał wychylony jak bocian. W pewnym momencie wyciągnął rękę i dotknął ramienia jednej z kobiet, przesunął po nim dłonią w sposób jakiś bardzo pieszczotliwy. Kobieta powoli odwróciła głowę, lecz kiedy zobaczyła przed sobą obcego człowieka, krzyknęła i przytuliła się do mężczyzny. Ten wstał purpurowy z pasji.

— Co jest, do jasnej cholery? — powiedział — Co jest, ty łobuzie? Co ty sobie myślisz?... — zaczął się nagle krztusić ze złości i nie dokończył. Z całej siły uderzył zgarbionego pięścią w usta.

Zgarbiony nie odsunął się i nie spojrział nawet na mężczyznę. Obliznął krew z warg i w dalszym ciągu patrzył na kobietę; trzymał przy tym uniesioną rękę, tak jakby raz jeszcze

chciał dotknąć jej ramienia. Ten uśmiech i gest rozjątrzył mężczyznę. Uderzył go teraz dwa razy, o wiele silniej: raz w twarz, raz w żołądek. Zgarbiony zwinął się z bólu; wtedy mężczyzna błyskawicznie kopnął go w twarz. Teraz dopiero zgarbiony rozciągnął się jak długi.

— Masz dosyć? — zapytał mężczyzna. Zasapał się i począł ocierać spocone czoło; jego wielka, kraciasta chustka stała się momentalnie mokra.

Od stolika stojącego w rogu podniosło się dwóch kolejarzy. Podeszli do leżącego i pochylili się nad nim.

— Teraz ma dosyć — powiedział jeden z nich. Zwrócił się do stojącego wciąż mężczyzny. — Wyprowadzę go na peron. Świeże powietrze dobrze mu zrobi.

— Bydlę — mruknął mężczyzna. Usiadł.

Kolejarze wzięli leżącego pod ramiona i wyprowadzili go na peron. Noc była duszna, brakowało im oddechu, uciskały sztywne kołnierzyki. Pachniało czadem i liśćmi nagrzanymi za dnia. Daleko, nad zielonymi światłami semaforów, błyszcząły blednące gwiazdy Wielkiego Wozu.

— Lepiej? — zapytał jeden z kolejarzy zgarbionego.

Kiwnął głową.

— Wiesz już, gdzie jest twój brat?

Nic nie odpowiedział ani nie uczynił żadnego ruchu głową. Kolejarz odpiął z rzemienia latarkę i oświetlił sobie nią twarz.

— Rozumiesz, co będę mówił do ciebie?

— Tak — powiedział zgarbiony.

— Wiesz, gdzie mieszka twój brat?

— Nie. Nie wiem.

Milczeli przez chwilę. Kolejarz uniósł nieco wyżej latarkę.

— Słuchaj — powiedział. — Widzisz ten tor?

— Tak — rzekł zgarbiony.

— Idź prosto tym torem. To kilometr, może dwa. Widziałem się dzisiaj z twoim bratem. Powiedział, że będzie na ciebie czekać. Spotkasz go. Mówił mi, że weźmie cię do siebie. Rozumiesz?

— Tak — powiedział zgarbiony.

— To idź już, czas. Chcesz papierosa?

— Nie — powiedział zgarbiony. — Muszę iść. Jeżeli on na mnie czeka, to muszę iść.

Przyjadę do was kiedyś z bratem.

Odszedł. Patrzyli za nim, jak biegnie środkiem toru potykając się na podkładach.

— Za dziesięć minut tym torem będzie szedł pociąg — powiedział milcząco dotychczas kolejarz.

Drugi spojrział na oświetlony zegar.

— Za osiem.

— Słońce już wschodzi. Możesz zgasić latarkę.

— Już za parę dni będzie wschodzić później.

— On nic nie słyszy?

— Jest głuchy jak pień. Możesz strzelać o krok za nim.

— Ogluchł tam, w więzieniu?

— Tak. Może zresztą jeszcze wcześniej.

— Musieli pewnie z nim coś robić.

— Nie mam pojęcia. Pewnie przeszukiwali go na swój sposób.

— Ja nie chcę nic na ten temat słyszeć, rozumiesz? Mnie toto wszystko nic nie obchodzi. Ja nie chcę o tym słyszeć.

— Nie słuchaj.

Znów milczeli chwilę. Czerwona kula słońca ukazała się na horyzoncie. Mokre tory lśniły jak dwa pasma słońca. Gdzieś daleko biegł między nimi pochylony człowiek.

— Ile siedział?

— Jedenaście lat. Miał jakieś sprawy z partyzantki. Teraz go wypuścili.

— Nie ma nikogo?

— Nikogo — powiedział kolejarz. — I trochę mu się pomieszało w głowie. Kiedy tam trafił, był jeszcze dzieckiem. Miał kiedyś brata i ciągle czeka na niego, ciągle szuka. Ten brat już dawno umarł, ale on nie chce w to uwierzyć. Jedenaście lat w więzieniu to przecież coś znaczy.

— Skąd wiesz o tym wszystkim?

— Trzy dni temu wracał z tamtymi. Wypuścili go z amnestii. Na tamtych czekały rodziny, żony i tak dalej. Na niego nikt. Wczoraj okradli go ze wszystkich pieniędzy. Jedenaście lat nie widział żadnej kobiety, dlatego im się tak przygląda. Ciągle obrywa po mordzie.

Przysiedli na ławeczce pod zegarem.

— Nie znalazłby i tak swego brata — powiedział jeden.

— Przecież nie żyje.

— Racja. Może by go wzięli do jakiegoś przytułku?

— Mury na mury? Zresztą... masz czas zająć się tym?

— Nie.

— Tak będzie najlepiej.

— Jasne. To już za dwie minuty... — Zwrócił się nagle do kolegi. — Słuchaj — powiedział — to gdyby oni tam, w poczekalni, mówiąc do niego, patrzyli mu w oczy czy tam prosto w twarz, nie potrzebowaliby go bić?

— Oczywiście — powiedział drugi. — Oczywiście... — Z hukiem przejechał pociąg, a kiedy ustało już dudnienie, kolejarz rzekł: — Puścili o minutę za wcześniej. — Kopnął jakiś kamyk i uśmiechnął się kwaśno. — Ba — powiedział. — Gdyby wszyscy nam mogli patrzeć w twarz...